

Lecieliśmy do Stavanger z ambitnym planem zdobycia w 2 dni Preikestolen i Kjeragu. Niestety pogoda nam nie dopisała. Deszcz i mgła pomieszały nam szyki zamieniając nasz mały wypad w survivalową wyprawę. Niedostatki pogodowe rekompensowaliśmy sobie poczuciem humoru i wrażliwością na piękno przyrody.

Przelot z Krakowa do Stavanger udało mi się zarezerwować za 74 zł w dwie strony. Znajomi, którzy kupowali bilety parę dni później zapłacili kilkadziesiąt złotych więcej. Pierwszym problemem z jakim przyszło nam się zmierzyć było spakowanie się do 10-kilowego bagażu podręcznego. Niestety niezbędne okazało się dokupienie dodatkowego bagażu rejestrowanego na całą naszą piątkę, do którego spakowaliśmy 2 namioty, 5 mat i trochę akcesoriów. Śpiwory, ubrania, kosmetyki i jedzenie każdy miał w swoim plecaku. Zabrałem ze sobą także małą kuchenkę gazową, ale ze względu na zakaz przewożenia środków łatwopalnych liczyłem, że na miejscu uda nam się kupić naboje. Niestety nigdzie nie udało nam się znaleźć takowych, więc chyba paliwko turystyczne jest lepszym rozwiązaniem.

Po przylocie do Stavanger złapaliśmy Flybusa kursującego bezpośrednio do portu za 75 koron/os., gdyż w niedzielę nie jeździ miejski autobus nr 9, który jest dużo tańszy (33 NOK). Stamtąd udaliśmy się od razu na prom do Tau (44 NOK), by dalej znów autobusem (80 NOK) dojechać pod schronisko u podnóża Preikestolen. Cały czas siąpił deszcz i niewiele było widać z okien autobusu i pokładu promu. W schronisku trochę odsapnęliśmy, pogawędziliśmy z napotkanymi tam Polakami i udaliśmy się w górę na szlak, gdzie zamierzaliśmy jeszcze przed zmrokiem rozbić namioty.

Jeden namiot rozbiliśmy na skale obciążając śledzie kamieniami, drugi w trawie tuż przy szlaku. Całą noc lało, ale - jakoś chyba trochę na przekór - humory nam niezwykle dopisywały. Trawa po mokrej nocy zamieniła się w bagno, więc namiot na niej rozbity trzeba było zwinąć.

Mimo deszczu i mgły zdecydowaliśmy się następnego dnia wejść na Preikestolen. To będzie niezapomniane doświadczenie. Droga w deszczu i we mgle, spacer po kamieniach przez rwące potoki, brodzenie przez strugi spływającej z gór wody. W kolorowych pelerynach przeciwdeszczowych wyglądaliśmy jak leśne krasnoludki. Szliśmy w takich warunkach dobre 3 godziny w jedną stronę, co prawda co jakiś czas zatrzymując się, by podziwiać piękno natury, pochłapać się w strumyku czy pod wodospadem, azaliż na skraju ruczaju. Byliśmy cali mokrzy, więc było nam już wszystko jedno, czy staniami chlupiącym butem na kamień czy w kałużę wody. Dla rezonu śpiewaliśmy sobie radosne piosenki w stylu „Zawsze niech będzie słońce...”, śmiejąc się z siebie nawzajem i całej tej sytuacji.

Na szczycie nic nie było widać, jedynie krawędzie skał, za którymi skrywała się ponad 600-metrowa przepaść. Nie udało nam się więc zrobić sztandarowej fotki z widokiem na ambonę. Może następnym razem pogoda nam dopisze, oby humory również. Kurczowo trzymaliśmy się pompatycznego motto naszej wyprawy: *Zamiast płakać nad burzą, trzeba się nauczyć tańczyć w deszczu !!!*

Jeszcze tego wieczora ze względu na ulewę przenieśliśmy się do schroniska. Nocleg w takich warunkach pod namiotami to byłoby już ekstremum. Niestety koszt za jedyny dostępny pokój 4-osobowy wyniósł nas 1800 koron. Na osłodę kupiliśmy sobie w tamtejszej restauracji przesmaczego łososia gotowanego na parze, co prawda za jedyne 165 NOK, ale warto było.

Wieczór i noc minęły nam na suszeniu rzeczy i na długich rozmowach. Rankiem jakby się trochę roz pogodziło. Nawet padła propozycja, by ponownie wejść na Preikestolen, gdyż odpuszczenie sobie Kjeragu w takich warunkach atmosferycznych było dla nas oczywiste. Ostatecznie udaliśmy się do Stavanger, by poznać miasto.

Bagażę zostawiliśmy w schowku na przystani, do którego weszło nam 5 plecaków i worek z namiotami. Koszt za max 24h przechowanie z możliwością tylko jednorazowego otwarcia to 60 NOK. Bez bagaży przyjemnie spacerowało się po mieście. Naszą uwagę przyciągnęły stojące tuż przy porcie dawne doki, a w ich pobliżu zachwycała nas uliczka, przy której stały wyłącznie domy z białą elewacją, oczywiście z drewnianym sidingiem. Na jednym z placów spotkaliśmy młodą Polkę, która pracuje w Norwegii od jakiegoś czasu. Stwierdziła bez żenady, że w Stavanger nie ma nic ciekawego, a Norwegowie uważają Polaków za złodziei, jednak sama nie myśli o powrocie do kraju.

Jak się przekonaliśmy miasto jest jednak bardzo atrakcyjne i ciekawe, z pewnością warte odwiedzenia. Kręcąc się wokół stawu, gdzie krzątały się wszędobylskie gołębie siadające spacerowiczom na rękach i głowach nietrudno było zauważyć, że Stavanger ma swoisty klimat. Zadbane klomby, bielutkie ławki, odnowione elewacje domów, wszędzie czysto i mimo dżdżystej pogody można było odczuć, że nawet przytulnie.

W centrum jest kilka uliczek, gdzie kolorowe elewacje domów robią niesamowite wrażenie. Od razu robi się radośniej, można tam zapomnieć o mrzawce i zachmurzonym niebie. Na kawę i gorącą czekoladę zatrzymaliśmy się w marokańskiej kawiarence, skąd obserwowaliśmy przechodniów. Przynajmniej połowa z nich już na pierwszy rzut oka nie wyglądała na rodowitych Norwegów. Zagadką pozostaje czy to turyści czy emigranci, ale z pewnością Stavanger jest multikulturowym miastem.

Tanie zakupy zrobiliśmy w markecie KIWI, gdzie można oddać plastikowe butelki do automatu (1 NOK), pokroić maszynowo zakupiony chleb (18,40

NOK) i zapłacić monetami nie kasjerce tylko do kasetki. Tutaj kupiliśmy masło czekoladowe (9,40 NOK), niedrogie sałatki (12,40 NOK) i piwo Hansa 0,5 L (18,90 NOK + 1 NOK puszka). Przy robieniu zakupów należy wiedzieć, że do każdego napoju jest doliczana kaucja za butelkę czy puszkę, które oczywiście można zwrócić w większości sklepów do automatu i odzyskać pieniądze.

Nie mogliśmy sobie odmówić smażonego łososa na wybrzeżu rybaków, za jakąś horendalną cenę 215 NOK. Tutaj podano nam do ryby jakąś ciemnozieloną papkę i zimne ziemniaki. Całość była dużo mniej smaczna niż zestaw jaki spałaszowaliśmy w schronisku. Tak też bywa.

Ostatnim kursem autobusu nr 9 o 22.09 pojechaliśmy na lotnisko, gdzie mieliśmy spędzić kolejną noc. Ze względu na deszcz zrezygnowaliśmy z obozowania pod namiotami, a ceny noclegów nas odstraszały. Lotnisko było tanią alternatywą, choć bez wygód. Autobusem kierował Polak, który poinformował nas gdzie wysiąść w środku ciemnej nocy. Swoją drogą akurat w Stavanger po zmierzchu było zwyczajnie ciemno, więc nie dane nam było podczas tego pobytu w Skandynawii doświadczyć białych nocy, które podobno na wielu działają depresyjnie.

Na lotnisku szukaliśmy polecanego w necie Kissing Point, gdzie wiele osób zwykło nocować na wygodnych kanapach z poduszkami objadając się darmowymi słodyczami. Niestety ten uroczy zakątek był już zajęty przez jedną parę, której nie chcieliśmy przeszkadzać. Znaleźliśmy za to w pobliżu wygodne skórzane kanapy przed zamkniętą restauracją na I piętrze, gdzie rozłożyliśmy swoje śpiwory. Napotkany policjant zapytał tylko czy mamy bilety lotnicze, bo patrząc na moje brudne spodnie i kłapeczki chyba wziął mnie za kłoszarda. Udało mi się wytłumaczyć mu po angielsku czemu tak wyglądam i dlaczego zamierzamy koczować na lotnisku czekając na nasz jutrzejszy lot powrotny do Polski koło południa.

Całe szczęście w nocy nie było żadnych rejsów lotniczych więc mieliśmy trochę spokoju, niestety tylko do 4 nad ranem, kiedy to zaczęła się lotniskowa krzątanina utrudniająca drzemkę. Jak się okazało na sąsiednich kanapach też nocowała para z Warszawy, która podczas kilkudniowego pobytu w okolicach Stavanger, właśnie tutaj spędzała każdą noc. Jeśli o mnie chodzi, to przy ciut lepszej pogodzie sto razy wolałbym spać pod namiotem niż w tym harmiderze.

Niezbyt wyspani zjedliśmy sobie śniadanie i przenieśliśmy się do Kissing Point, który po nocy się zwolnił. Tam znaleźliśmy bukłak z kalifornijskim, czerwonym winem, a pani z obsługi lotniska uzupełniła nam zapas dropsów. Nie widzieliśmy czegoś takiego na żadnym z lotnisk świata.

Aby nie próżnować postanowiliśmy udać się na położoną ok. 2 km od

lotniska plażę w Sola. Warto tam się wybrać nawet przy nienajlepszej pogodzie, by poczuć się przez chwilę jak nad polskim morzem. Piasek, fale, zero gór, przestrzeń, horyzont. Na piasku znaleźliśmy prawdopodobnie wyrzucone z morza całe kubańskie cygaro, oczywiście mokre i nie nadające się do palenia.

Na lotnisku wszystkim pasażerom nudę oczekiwania na samolot umilała kucharska orkiestra. Jej członkowie przechadzali się między grupkami turystów i śpiewali zamówione utwory. Gdy podeszli do nas poprosiłem, by zagrali jakąś polską piosenkę, ale niestety żadnej nie znali. Postanowiliśmy im zanucić ludowy szlagier czyli „Szła dziewczeczka”, a oni szybko podchwycili melodię i w ten oto sposób łącząc siły zabawialiśmy cały terminal. Ich pozdrowienia dla nas i Polski wypowiedziane przez mikrofon na cały głos były bardzo miłe i niosły się po terminalu wśród pasażerów z różnych krajów.

Zaraz potem spotkaliśmy znajomego znajomej, który pracuje w Stavanger i zaprosił nas do swojego domu, który może być bazą wypadową następnym razem nie tylko na powtórne wejście na Preikestolen, ale także do wielu innych atrakcyjnych miejsc w okolicy, o których nam opowiedział.

Przed południem zza chmur po raz pierwszy wyjrzało słońce. Z jednej strony nas to ucieszyło, z drugiej strony czuliśmy mały żal, że dopiero teraz, na godzinę przed naszym odlotem.

Mokrzy i zmęczeni wracaliśmy do Polski z pewnym niedosytem widoków, ale z nadmiarem przeżyć. To był dobry sprawdzian nas samych przed kolejną wyprawą. Na Preikestolen na pewno wrócimy, by zrobić sobie sweet focię na ambonie ;)A co się uśmieśliśmy i przeżyliśmy to nasze.